

THRILLERY Z PATAGONII

GDZIE POCHOWAŁEM FABIANĘ ORQUERĘ

CRISTIAN PERFUMO



**GDZIE POCHOWAŁEM
FABIANĘ ORQUERĘ**

THRILLERY Z PATAGONII

GDZIE POCHOWAŁEM FABIANĘ ORQUERĘ

CRISTIAN PERFUMO

autornia

Oryginal work copyright:

©Cristian Perfumo

Tytuł oryginału:

Dónde enterré a Fabiana Orquera

Tłumaczenie: Piotr Jarco

Projekt okładki: Joanna Jarco

Redakcja i korekta: Barbara Lewandowska, Natalia Grzeszczak

Skład i łamanie: Joanna Jarco

ISBN: 978-83-972980-8-8(druk)

ISBN: 978-83-972980-9-5 (EPUB)

ISBN: 978-83-976707-0-9 (MOBI)

ISBN: 978-83-976707-1-6 (PDF)

ISBN: 978-83-976707-2-3 (audiobook)

autornia

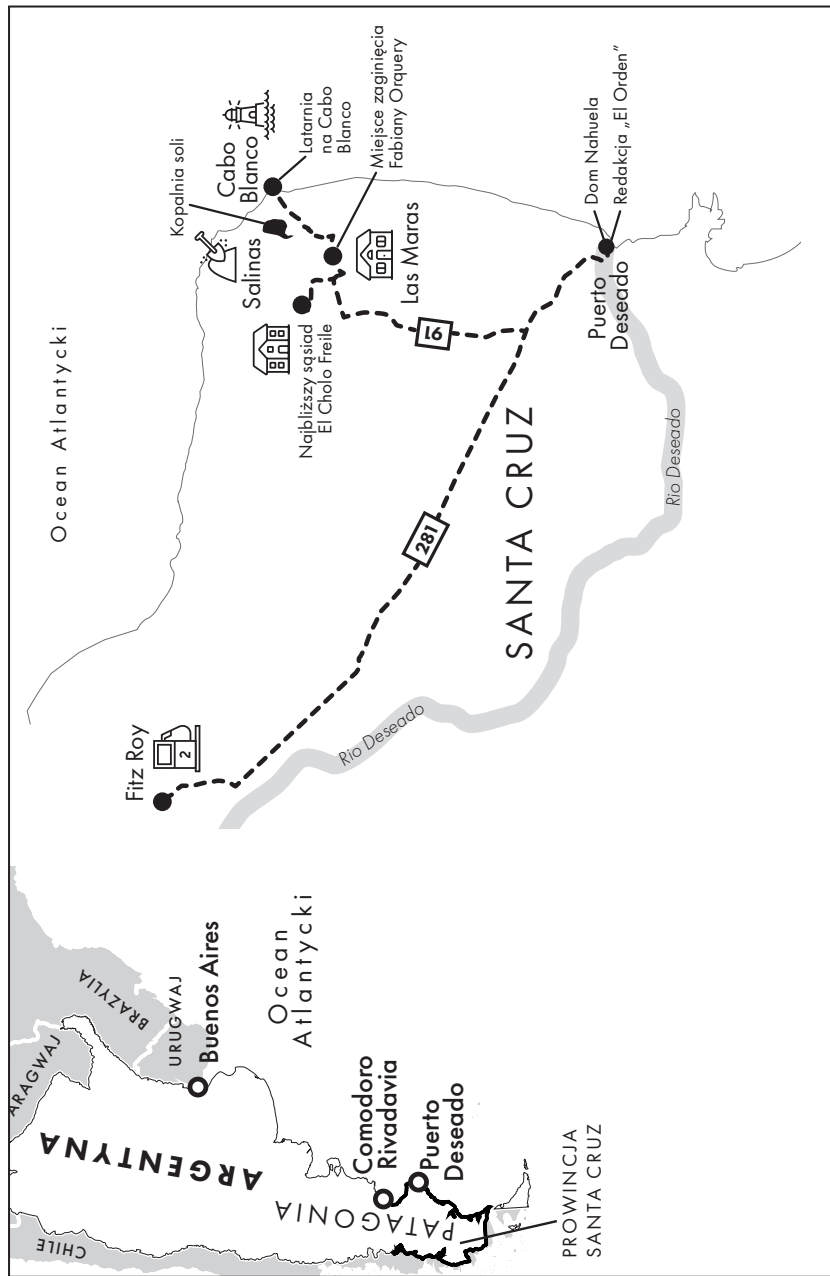
www.autornia.com

e-mail: hola@autornia.com

Copyright ©2025 by Studio Link Piotr Jarco

Polska, 2025

*Dla Angelity,
którą zawsze widywałem z książką w dłoniach.*



Rozdział 1

List

Kiedy znalazłem list, o Fabianie Orquerze wiedziałem tyle, co każdy mieszkaniec Puerto Deseado. Przed laty pojechała na romantyczny weekend z jakimś mężczyzną i przepadła bez śladu. Jego – żonatego kandydata na burmistrza – znaleziono później nieprzytomnego, leżącego na podłodze w kałuży krwi, która nie należała ani do niego, ani do niej. Wszystko to wydarzyło się w domu położonym na odludziu, piętnaście kilometrów od najbliższego sąsiada.

W tym samym domu, w którym wiele lat później miałem spędzać niemal każde wakacje.

Kilka miesięcy po zaginięciu kobiety mężczyzna stanął przed sądem. Choć uniewinniono go z powodu braku dowodów, proces na zawsze pogrzebał jego karierę polityczną. To było wszystko, co wiedziałem o Fabianie Orquerze, gdy znalazłem tę pożółkłą, zniszczoną kopertę.

Tak przynajmniej wyglądały fakty, bo domysłów było tyle, ilu mieszkańców Puerto Deseado. Jedni szeptali o satanistycznych rytuałach, inni twierdzili, że już kiedyś kogoś zabił, a jeszcze inni podejrzewali, że to sprawa jego niewinnie wyglądającej żony.

Ale wróćmy do listu. Odkryłem go przypadkiem. Tego dnia, gdy po półtoragodzinnej podróży dotarłem do Las Maras, Dolores i Carlucho, przyjaciele moich rodziców, których traktowałem jak rodzinę, przywitali mnie napojem *yerba mate*. Rozmawialiśmy chwilę o podróży, pogodzie i innych mało znaczących sprawach, a potem zaprowadzili mnie do jednego z pięciu pokoi, który miał być moim domem przez całe lato.

Przypadło mi chyba największe pomieszczenie. Masywna drewniana komoda, za którą dalby fortunę niejeden antykwariusz, oraz wiszące nad

nią lustro zajmowały większość ściany. W szufladach, oprócz kilku kulek naftaliny, nie było nic, więc ułożyłem w nich grube swetry. Nawet latem poranki w sercu Patagonii potrafią być chłodne. Otworzyłem najniższą szufladę i włożyłem do niej całą bieliznę, którą ze sobą zabrałem. Zamykając ją, zauważyłem wystający spod komody róg pośliskiego papieru. Wyciągnąłem go ostrożnie.

Była to stara koperta. Ktoś dawno temu napisał na niej drobnym, eleganckim pismem: „DLA ZNALAZCY”. Jedynym śladem nadawcy był czerwony lak z odciskiem okrągłej pieczęci na odwrocie.

Przez chwilę ważyłem kopertę w dłoniach, zastanawiając się, czy powinienem ją otworzyć. Ciekawość jednak zwyciężyła. W środku znajdowała się cienka, krucha kartka zapisana tym samym charakterem pisma:

ESTANCIA LAS MARAS, LISTOPAD 1998

PRZEZ PRAWIE SZESNAŚCIE LAT MILCZAŁEM. TO SZMAT CZASU. NIE MA JUŻ POWODU, BY TO UKRYWAĆ: RAÚL NIE ŻYJE OD ROKU, A MNIE SAMEMU PEWNIE NIEWIELE DNI POZOSTAŁO.

POSTANOWIŁEM WIĘC WYJAWIĆ, KIM JESTEM I GDZIE POCHOWAŁEM FABIANĘ ORQUERĘ.

ODPOWIEDŹ JEST NA WYCIĄgniĘCIE RĘKI – UKRYŁEM JĄ NA STRONACH, KTÓRYCH NIKT JUŻ NIE CZYTA ANI NIE PAMIĘTA.

NN

Przeczytałem list kilkakrotnie, a z każdą lekturą moje serce biło coraz gwałtowniej. Krążąc po pokoju, wciąż zadawałem sobie te same pytania: Kim jest NN? Co zrobił Fabianie Orquerze? I co miał na myśli, mówiąc o stronach, których nikt już nie czyta?

Wtedy ktoś otworzył drzwi do sypialni.

Rozdział 2

Las Maras

– Kolacja za pięć minut, Nahuel – powiedziała Dolores Nievas, zaglądając do pokoju.

– Dzięki, Lola. Zaraz będę.

– Nie zwlekaj, wiesz, jak łatwo denerwuje się Carlucho – dodała, zamykając za sobą drzwi.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziesiąta wieczorem, a dzień wciąż trwał w najlepsze. Przez okno widziałem ogromną, czerwoną kulę słońca, powoli znikającą za horyzontem i rzucającą długie cienie na pusty patagoński płaskowyż. Oprócz kamiennej chaty, którą nazywaliśmy Cabaña, i starego wiatraka, nic nie wystawało więcej niż pół metra ponad ziemię. Pozostałą część krajobrazu stanowiły jedynie szara gleba i niskie krzewy, ciągnące się aż po horyzont.

Schowałem list do koperty i włożyłem go do szuflady razem z bielizną, uświadamiając sobie, że od listopada 1998 roku, gdy NN go napisał, minęło ponad czternaście lat.

Po raz pierwszy od bardzo dawna moja rodzina i Nievasowie, właściciele Las Maras, nie spędzali wspólnie świąt. W listopadzie ojciec miał stan przedzawałowy, a lekarz zalecił, by pozostał w Puerto Deseado, blisko szpitala. Mimo protestów, przekonaliśmy go z mamą, by został na Boże Narodzenie i Nowy Rok w domu, choć oznaczało to zerwanie z tradycją starszą ode mnie.

Te święta okazały się najdziwniejszymi w całym moim życiu. Przywykłem do spędzania ich z rodzicami, ale nigdy w ich własnym domu. Nie w Puerto Deseado, wznosząc toasty z sąsiadami. W moim wyobrażeniu Nowy Rok to moment, gdy pięć po dwunastej jedynie nasze fajerwerki

rozświetlają niebo. To chwila, gdy po opróżnieniu połowy talerzyków z prazonymi orzeszkami, pijani i objęci Carlucho z moim ojcem intonują kolejną *chacarera*. Gdy około czwartej nad ranem zaczyna się rozjaśniać, a my zasłaniamy okna i bawimy się dalej.

To właśnie ta nostalgia skłoniła mnie w południe drugiego stycznia, po zjedzeniu resztek noworocznej kolacji, do odwiedzenia Nievasów w Las Maras. Wiedziałem, że nie będzie to to samo, co świętowanie z nimi, zwłaszcza że większość z dwudziestu kilku osób, które zazwyczaj spędzały z nami ten czas, zapewne już dawno powróciła do domów. Tylko Carlucho i Dolores zostawali jak zawsze do połowy stycznia. Mimo to chciałem spędzić kilka dni na wsi, z dala od telefonu, Internetu i dzieci krzyczących na ulicy: „Dzień dobry, psorze!”.

Tak więc, po deserze i wypiciu yerby z rodzicami, otworzyłem drzwi Fiata Uno i przesunąłem fotel kierowcy do przodu. Mój pies Bongo otrząsnął czarne futro, szczerknął, spoglądając na mnie swoim pooranym bliznami pyskiem, i wskoczył do środka jednym susem. Osiemdziesiąt kilometrów dzielących Puerto Deseado od Las Maras pokonaliśmy przy dźwiękach Charly’ego Garcíi, śpiewając wszystkie utwory z albumu „Casandra Lange”.

Rozdział 3

Pablo

Jak co roku o tej porze stół w jadalni wydłużono, kładąc deski na drewnianych kozłach. Carlucho zajął miejsce u szczytu, a obok niego usiadła Dolores, subtelnym gestem ponagłając mnie, bym się pośpieszył. Naprzeciw niej Valeria, jedyna córka gospodarzy, flirtowała ze swoim nowym chłopakiem.

Gdy wszedłem, Carlucho spojrzał na mnie wymownie.

– Pospiesz się, Nahuel, bo wystygnie – powiedział.

Usiadłem obok Dolores, naprzeciw chłopaka Valerii, który, jak się później dowiedziałem, miał na imię Pablo.

– Wybaczcie, że podaję wam odgrzewane jedzenie, ale przecież nie wyrzucimy tego – powiedział Carlucho, wskazując na półmisek, na którym ledwie mieścił się udziec jagnięcy. – Zostało z pieczenia, którą robiliśmy w południe na pożegnanie ostatnich krewnych.

– Żartuje pan, panie Carlos? Gdyby podali mi coś takiego w restauracji i kazali zapłacić jak za zboże, zostawiłbym dwa razy tyle napiwku – powiedział przymilnie chłopak Valerii.

Jego komentarz wydał mi się wyjątkowo głupkowaty, ale rozumiałem, że chciał się przypodobać przyszłym teściom. W końcu pokonał trzysta pięćdziesiąt kilometrów, w tym sześćdziesiąt szutrowymi drogami z Comodoro Rivadavia, aby poznać rodziców Valerii.

– Komplementy zachowaj dla mojej córki – odpowiedział Carlucho, wbijając szeroki nóż w udziec.

Pablo zaczął coś mamrotać w ramach przeprosin, ale przerwał mu chropowaty śmiech Carlucha. Gospodarz odkroił kawał mięsa i położył go na talerzu Pabla.

– Ostrzegalam cię, jaki jest mój ojciec – powiedziała ze śmiechem Valeria, całując chłopaka w policzek.

Odwrociłem wzrok, udając zainteresowanie jedzeniem.

Carluchó rozdzielił mięso pomiędzy wszystkich, a Dolores nalała do kieliszków *torrontés salteño* i zaczęliśmy jeść.

Rozmowa toczyła się głównie wokół pytań, które Pablo zadawał Carluchowi. Pytał o liczbę owiec, ilość wełny z jednej sztuki czy zyskowność gospodarstwa, a Carluchó odpowiadał bez entuzjazmu, raczej z obowiązku niż z chęci. Kiedy na stole pojawiły się resztki tiramisu i ciasta cytrynowego, Pablo już wiedział, że z Valerią powinien być wyłącznie z miłości, bo jedyny zysk i tak przypadnie bankowi.

– Vale mówiła, że zajmujesz się informatyką. Naprawiasz komputery? – zapytała Dolores swojego przyszłego zięcia.

– Niezupełnie. Tworzę oprogramowania.

Nievasowie spojrzeli na niego zdezorientowani.

– Piszę programy komputerowe. Takie jak Word – wyjaśniłem.

– Dzięki, Nahuel – rzucił Pablo. – Pracuję dla największej firmy w Comodoro w tej branży. Większość naszych klientów to firmy naftowe.

– I lubisz to? – spytałem.

Spojrzał na mnie zaskoczony, jakby nikt wcześniej go o to nie pytał.

– Nie narzekam. Dużo pracuję, ale to jedna z najlepiej płacących firm w kraju. A ty, czym się zajmujesz, Nahuel?

– Jestem nauczycielem.

– W szkole? – spytał, jakby źle usłyszał.

– Tak, uczę drugą i trzecią klasę. Dzieci w wieku siedmiu i ośmiu lat.

Pablo włożył do ust pełną łyżeczkę deseru. Gdy wyjął ją czystą, wskazał nią w moją stronę.

– Mam być szczery? Ja bym nie dał rady.

„Dziękuję za informację. Bardzo odkrywcze” – pomyślałem.

– To nie jest zajęcie dla każdego – wtrąciła Dolores, która przeszła na emeryturę jako dyrektorka szkoły, w której pracowałem. – Dzieci bywają trudne, czasami nawet okrutne. Jeśli nie potrafisz utrzymać ich zainteresowania, jesteś skończony. Ale Nahuel ma do tego ogromny talent. Uczniowie go uwielbiają.

– Czy nie przesadzasz trochę, bo mnie lubisz?
– Przesadzasz t r o c h ę ? – wtrąciła się Valeria, a potem dodała, imitując wysoki głos matki: „Na co masz dziś ochotę, Nahuelku?”, „Nie wstawaj, zaraz przyniosę ci mate do łóżka”.

– Trudno go nie lubić. To syn, którego nigdy nie miałam – powiedziała Dolores, patrząc na Pabla, i lekko poklepała mnie po głowie.

Na chwilę mój wzrok spotkał się ze spojrzeniem Valerii. Chciałem coś przełknąć, ale poczułem ucisk w gardle.

– Czyli jesteś lubianym nauczycielem – skwitował Pablo, próbując rozładować atmosferę.

– A także pisarzem – szybko dodała Dolores, nie dając mi dojść do słowa.

– Serio? – Pablo spojrzał na mnie z wyraźnym zaciekawieniem.

– Wszystko, co mówi Dolores, traktuj z dystansem, jak słowa każdej matki. Jestem zwykłym nauczycielem. Pisanie traktuję jako hobby. Od tego do....

– Powieści? – przerwał Pablo.

– Nie, nie mam aż takiej wyobraźni. Gdybym miał jakoś nazwać to, co robię, byłoby to bliższe dziennikarstwu niż pisarstwu. Od czasu do czasu publikuję w jednej z rubryk w lokalnej gazecie „El Orden”.

– Czyli jesteś kimś więcej niż amatorem. O czym jest ta rubryka?

– Szczercze mówiąc, trudno ją zdefiniować. Można powiedzieć, że to dziennikarstwo śledcze, ale na skalę miasteczka. Na przykład w październiku napisałem dwustronicową historię o tym, jak po wieczornym pokerze między radnymi a ich kumplami ziemia przeznaczona na plac osiedlowy zamieniła się w plac pod lokale handlowe.

– „Plac innych gier” – powiedział Carlucho.

– Tak brzmiał tytuł artykułu, a teraz tak nazywają to miejsce ludzie w mieście – dodała Dolores.

– Czyli to, czy jesteś lubiany, zależy od tego, kogo zapytasz – podsumował Pablo.

– Dokładnie. Jest sporo osób, które nie mogą mnie znieść. Trudno im się dziwić. Kiedy człowiek publicznie wyciąga lokalne brudy w tak małej społeczności, nie sposób nie mieć wrogów. Co jakiś czas dostaję nawet pogróżki. Głównie wiadomości na telefon.

– I nie boisz się trochę? – zapytał Pablo.

– Bać się nie boję, ale jestem ostrożny. Gdy ktoś mi grozi, tydzień później opisuję sprawę w artykule. Jeśli wiem, kto to, podaję imię i nazwisko. Jeśli nie, drukuję treść wiadomości i piszę list otwarty.

– Albo odwiedzasz ich w domu i dajesz po mordzie – dorzuciła Valeria.

– Tylko czasami. Zazwyczaj wystarczy publiczne napiętnowanie – po takim ujawnieniu nikt już nie odważa się zrobić mi krzywdy. Poza tym, nie wszystko, co publikuję, jest aż tak kontrowersyjne.

– Twoje hobby jest bardziej ryzykowne niż moje – powiedział Pablo. Ja zbieram monety, a one raczej nikomu nie szkodzą.

– Masz już pomysł na kolejną historię, Nahuel? – zapytała Valeria.

– Tak. Rozważam napisanie artykułu o Fabianie Orquerze. Ten pomysł przyszedł mi do głowy całkiem niedawno.

Dokładniej mówiąc – niecałą godzinę temu, ale ten akurat fakt wolałem jednak przemilczeć.

Na dźwięk tego nazwiska rozmowa momentalnie ucichła. Carlucho i Dolores wymienili ukradkowe spojrzenia, po czym kobieta zaproponowała, jakby odrobinę nerwowo:

– Może ktoś się napije kawy?

Wszyscy natychmiast się zgodzili.

Rozdział 4

Zniknięcie

– Fabiana Orquera – wyjaśniła Valeria Pablowi – to kobieta, która zniknęła bez śladu w tym domu na początku lat osiemdziesiątych.

– Dokładnie w marcu 1983 roku – doprecyzował Carlucho.

– Jak to „zniknęła”?

– Miałem wtedy mniej więcej tyle lat co wy, i właśnie przejąłem gospodarstwo – zaczął Carlucho. – Niedawno zmarła moja matka, a ojciec, zbliżający się do siedemdziesiątki, nie mógł dłużej mieszkać sam. Gdyby coś mu się stało, nie miałby kto mu pomóc: najbliższy sąsiad mieszkał piętnaście kilometrów dalej, a do szpitala mieliśmy aż osiemdziesiąt. Przekonałem go, żeby przeniósł się do Deseado.

– A co stało się z gospodarstwem? Zostało bez opieki? – zapytał Pablo.

– Gospodarstwa nie można zostawić bez opieki – zaśmiał się Carlucho. – Ale ja również nie mogłem się tu przenieść, bo warsztat w Deseado przynosił całkiem niezły dochód. Zatrudniłem więc pracownika, który miał doglądać bieżących spraw. Ja wpadałem tylko na weekendy, żeby wszystko przypilnować.

– I wystarczyła jedna osoba do obsługi gospodarstwa o powierzchni dwudziestu tysięcy hektarów?

– Do podstawowych prac, tak. Dobry pracownik spokojnie poradzi sobie z przeglądaniem ogrodzeń, opieką nad owcami czy pilnowaniem domu. Do cięższych robót, takich jak strzyżenie czy znakowanie zwierząt, zawsze wynajmujemy dodatkowych ludzi. Robimy tak od ponad trzydziestu lat.

Pablo wciąż nie był do końca przekonany. Komuś, kto nie znał realiów patagońskiego gospodarstwa, trudno było sobie wyobrazić samotnego

człowieka na tak wielkiej przestrzeni, poruszającego się głównie konno po terenie wielkości małego kraju.

– Ponieważ pracownik mieszkał w domku po drugiej stronie tamaryszków, ten dom stał pusty – kontynuował Carlucho. – Wpadłem więc na pomysł, że w weekendy, kiedy mnie tu nie będzie, mogę go wynajmować i zarobić dodatkowe pieniądze.

– A są na to chętni w takim miejscu? – spytał Pablo. – Deseado jest przecież osiemdziesiąt kilometrów stąd, a Comodoro prawie trzysta. Kto wynajmuje dom na takim odludziu?

– Też się nad tym zastanawiałem, kiedy jakieś trzydzieści lat temu pierwszy raz dałem ogłoszenie do gazety „El Orden”. Ku mojemu zdziwieniu, szybko okazało się, że zainteresowanie było całkiem spore, szczególnie wśród osób zamężnych.

– Małżeństw? – zdziwił się Pablo.

– Raczej osób w małżeństwie – sprostował Carlucho.

Pablo spojrzał zdezorientowany na Valerię.

– Wyobraź sobie, że mieszkasz w miasteczku, gdzie wszyscy wszystko o sobie wiedzą – zaczęła wyjaśniać dziewczyna. – Jesteś żonaty, ale masz romans. Nie możesz spotkać się z kochanką w jej domu, bo ktoś na pewno cię zauważy. Hotel też odpada – recepcjonista zna ciebie albo kogoś z twojej rodziny. Dokąd się wtedy udasz?

– Pojechałbym na weekend do Comodoro – odparł Pablo bez wahania.

– Myślisz jak człowiek z miasta – zaśmiała się Valeria. – W Comodoro roi się od mieszkańców Deseado. Nie mamy tutaj uniwersytetu, dużych sklepów, a do niedawna nie było nawet okulisty. Dokąd wszyscy jeżdżą załatwiać takie sprawy? Do Comodoro.

– Czyli wynajmował pan ten dom na schadzki? – Pablo spojrzał pytająco na Carlucho.

– Nie. Wynajmowałem go każdemu, kto chciał spędzić weekend na wsi. Nie zadawałem żadnych pytań.

– A co się stało z Fabianą Orquera, Carlucho? – wtrąciłem, by skierować rozmowę na właściwe tory.

– Pewnego dnia do mojego warsztatu przyszedł Raúl Báez i poprosił o wynajęcie domu na następny weekend. Odmówiłem, bo sam planowałem

przyjechać tu z twoim ojcem – Carlucho spojrział na mnie. Chcieliśmy zapolować na guanako i połowić ryby w Cabo Blanco. Byliśmy wtedy kawalerami, choć twój tata spotykał się już z twoją mamą, a ja i Dolores mieliśmy się wkrótce pobrać.

Mój ojciec i Carlucho byli przyjaciółmi jeszcze z czasów dzieciństwa. Poznali się w szkole, do której chodziłem ja sam i w której teraz uczyłem. Po sześćdziesięciu pięciu latach wciąż się przyjaźnili. Mój ojciec, od lat na emeryturze, wpadał do warsztatu dwa, trzy razy w tygodniu, żeby napić się mate.

Gdyby nie problemy zdrowotne ojca, tego dnia siedziałby tu z nami w Las Maras, pomagając Carluchowi opróżniać kolejną butelkę *torrontés*.

– Ale Báez nie odpuszczał. Powiedział, że musi wynająć dom właśnie na ten weekend i zaproponował podwójną stawkę.

– Typowe dla kogoś z grubym portfelem – mruknął Pablo.

– Nie. Nie o to chodziło. To nie była arogancja bogatego człowieka. Zachowywał się raczej jak ktoś zdesperowany, kto prosi o przysługę.

– Powiedział, po co potrzebował domu? – spytała Valeria.

– Nauczyłem się już wtedy nie zadawać takich pytań. Po prostu zgodziłem się na jego warunki. Prawdę mówiąc... – Carlucho ściszył głos i pokazał nam złotą obrączkę na lewej dłoni. – Za te pieniądze kupiłem to.

Podniósł lewą rękę, aby pokazać nam swoją dłoń. Kciukiem wskazał na złotą obrączkę ślubną na swoim grubym palcu.

– Ale tego szczegółu nie zapisuj, Nahuel, bo Dolores nie lubi, gdy o tym wspominam.

– Nie o to chodzi – powiedziała Dolores, wylaniając się zza drzwi z tacą pełną filiżanek parującej kawy. – Po prostu nie lubię, gdy łączysz symbol naszego małżeństwa z tymi niefortunnymi wydarzeniami. Te obrączki, prędzej czy później, kupiłbyś tak czy siak – gdyby nie Báez, zarobiłbyś na nie, naprawiając samochód albo wynajmując dom komuś innemu.

– Oczywiście, kochanie – mężczyzna uśmiechnął się do niej łagodnie. – Wracając do tematu: umówiliśmy się, że klucze zostawi mi w warsztacie w poniedziałek rano, w specjalnym schowku. Wyjechałem na parę dni do Comodoro, a kiedy wróciłem we wtorek, klucza w skrytce nie było. Zaniepokojony, pojechałem więc do jego domu. Drzwi otworzyła mi

jego żona. Miała oczy zapuchnięte od płaczu. Ledwie mnie ujrzała, wpadła w furję – zaczęła mnie okładać pięściami, krzycząc, że wszystko to moja wina.

– Báz miał żonę? – spytał Pablo.

– Już ci mówiłem, że prawie wszyscy, którzy wynajmowali ten dom, mieli żony.

– I co powiedziałeś tej kobiecie? – spytałem.

– Nic. Co miałem powiedzieć? Poprosiłem, żeby się uspokoiła i wyjaśniła, co się stało. Ale ona tylko płakała, krzycząc, że Báz przeze mnie jest w więzieniu. Według niej, gdybym nie wynajął mu domu na schadzkę z kochanką, nic złego by się nie wydarzyło.

– Ale co właściwie się stało? – zapytał Pablo.

Carlucho wstał od stołu i skinął na nas, żebyśmy poszli za nim.

Rozdział 5

Miejsce zbrodni

Minutę później wszyscy zebraliśmy się w kuchni.

– Bącz twierdził, że tamtej niedzieli on i Fabiana Orquera wstali, zjedli śniadanie i poszli na spacer po okolicy.

– Nie mówię, że kłamał – wtrąciła Dolores, szykując się do mycia naczyń. – Ale przy takim wietrze, jaki wtedy szalał w Descado, jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Carlucho wzruszył ramionami, jakby nie miał siły powtarzać tej samej historii.

– Zgodnie z jego wersją, której prawdziwości nikt dziś nie potwierdzi, wrócili ze spaceru, a on poszedł po mięso, które robotnik zostawił im w rzeźni.

– Rzeźnia to mała szopa, gdzie zarzyna się owce i sezonuje mięso, żeby skruszało – wyjaśniła Valeria, uprzedzając pytanie Pabla.

– Teraz tego nie zobaczycie, ale tamto okno wychodzi na kamienistą ścieżkę – powiedział Carlucho, wskazując szybę, w której odbijały się nasze twarze. – Wzdłuż ścieżki ciągnie się rząd tamaryszków na długości około trzydziestu metrów. Gdy miniesz te drzewa i skręcisz w prawo, po przejściu kolejnych dwudziestu metrów dojdiesz do domu parobka.

– A za nim znajduje się rzeźnia – dodała Valeria.

Carlucho skinął głową i kontynuował:

– Bącz twierdził, że zanim wszedł między tamaryszki, odwrócił się i posłał Fabianie całusa. Stała tutaj, przy oknie, przygotowując coś do jedzenia. Kiedy wszedł między drzewa, poczuł silne uderzenie w głowę i stracił przytomność. Gdy się ocknął, był już tutaj, w spiżarni.

– Tak przynajmniej twierdził – dodała Dolores, nie odwracając się od zlewu.

– Tak twierdził – powtórzył Carlucho, otwierając drewniane drzwi.

Zapalił światło i wskazał mały pokój, w którym mieściły się tylko dwa łóżka. Na posłaniach leżały ręcznie tkane wełniane koce, pod którymi spałem podczas wakacji. To było zdecydowanie najzimniejsze pomieszczenie w całym domu. Z czasów, gdy pełniło funkcję spiżarni, zachowały się tylko drewniane półki na dwóch ścianach i rdzewiejące żelazne haki zwisające z sufitu.

– Od tego momentu jego relacja i zeznania robotnika są identyczne. Báez ocknął się na podłodze.

Gospodarz wskazał palcem podłogę przy wejściu do pomieszczenia.

– A Alcides, robotnik, klepał go po twarzy, próbując ocucić. Gdy Báez doszedł do siebie, pierwsze, co zauważył, to to, że jest cały we krwi, a tuż obok niego leży masywny zakrwawiony nóż.

– Został pchnięty nożem? – zapytał Pablo.

– Nie, nie miał nawet draśnięcia – odparła Dolores z kuchni.

– Krew nie była jego – wyjaśnił Carlucho.

– W takim razie musiała należeć do Fabiany Orquery – zasugerował Pablo. Báez mógł ją zabić, ukryć ciało, a następnie upożorować atak na siebie, mając świadomość, że prędzej czy później parobek go znajdzie. A może był niewinny, a ci, którzy go zaatakowali, zamordowali Fabianę Orquerę i zboczyli Báeza jej krwią, żeby go obciążyć?

– Ani jedno, ani drugie – odparł Carlucho. – Policja ustaliła później, że nie była to krew Fabiany.

– Czy w tamtych czasach robiono już testy DNA? – zapytał Pablo.

– Nie wiem – powiedział Carlucho – ale w tym przypadku nie były potrzebne. To była krew owcy. Parobek zeznał, że w rzeźni na stole leżało świeżo zarżnięte jagnię. Nie było oskórowane ani wypatroszone – miało tylko głębokie nacięcie na gardle.

– Czy policja znalazła coś jeszcze? – dopytywał Pablo.

– Nic więcej. Przez kilka dni gospodarstwo przypominało scenę z amerykańskiego filmu – wszędzie kręcili się funkcjonariusze, rozciągnięto żółte taśmy, ustawiono sprzęt. Nawet mnie nie wpuszczali. Po tygodniu stwierdzili, że dziewczyna zniknęła bez śladu. Sprowadzili nawet specjalnie wyszkolone psy tropiące, ale te nie podjęły żadnego

śladu. Pamiętam tylko, że te biedne zwierzaki ciągle wdawały się w bójki z psami Alcidesa.

– Kiedy dokładnie to się stało, don Carlos? – zapytał Pablo.

– W osiemdziesiątym trzecim.

– W samym środku dyktatury wojskowej – powiedział Pablo.

– Pod jej koniec – poprawiłem go. W październiku były wybory, a to wydarzyło się w marcu.

– Może była jedną z ofiar czystek wojskowych? – zastanawiał się na głos chłopak Valerii.

– Możliwe – wtrąciłem. – W końcu w trakcie rządów wojskowych zagięło bez śladu około trzydziestu tysięcy osób.

Nagle stanęły mi przed oczami koszmarne opowieści wujka Hernando z czasów dyktatury, kiedy to, w siedemdziesiątym siódmym, spędził trzy miesiące w wojskowym więzieniu. Brat mojej matki miał szczęście – wypuścili go, w przeciwieństwie do jego dziewczyny i dwóch kolegów z uniwersytetu, po których ślad zaginął.

– Zdecydowanie mniej – powiedział Pablo. – Jedni mówią o trzydziestu tysiącach, inni o siedmiu.

– Wybacz, ale dla mnie ci, którzy mówią o siedmiu tysiącach, to faszyci – rzuciłem bez zastanowienia.

– Według tej samej logiki, ci, którzy mówią o trzydziestu tysiącach, to lewicowcy, którzy zawsze są przeciwko wszystkiemu – odparł Pablo.

– Okej – wtrąciła Valeria. – Nie przyszliśmy tu rozmawiać o polityce.

– To nie polityka – poprawiłem ją. – To historia jednego z największych ludobójstw w naszym kraju.

– Nie ma znaczenia, jak to nazwiesz, Nahuel – upierała się. – Rozmawiamy o Fabianie Orquerze.

– Myślisz, że mogła być jedną z ofiar czystek wojskowych? – ponowił swoje pytanie Pablo.

– Wątpię – powiedział Carlucho. – Miałem przyjaciela, którego porwali. To, co spotkało tę dziewczynę, zupełnie nie pasuje do ich procedur. Oni zawsze działali według schematu – nocą wpadali do mieszkania, przewracali wszystko do góry nogami, szukając dowodów, zapisków, kontaktów, dokumentów. Czegokolwiek. Tymczasem nikt nie sprawdził mieszkania

Fabiany, nikt tu niczego nie szukał, a w domu niczego nie ruszono. I ta owcza krew... nie pasowała do ich modus operandi.

– Poza tym większość zaginięć w czasie dyktatury miała miejsce między rokiem siedemdziesiątym szóstym a siedemdziesiątym ósmym – powiedziałem do Pabla. – Mam w domu kilka książek na ten temat. Jeśli chcesz, mogę ci jedną pożyczyć.

Valeria zmierzyła mnie morderczym spojrzeniem.

– Czy rodzina Fabiany obwiniała pana o jej zaginięcie? – spytał Pablo, udając, że mnie nie słyszał.

– Nie. Fabiana mieszkała tu krótko, nie miała rodziny w Deseado. Pochodziła z Entre Ríos, z przeciwległego końca kraju. Według materiałów procesowych, mimo szeroko zakrojonych poszukiwań, policja nie zdołała odnaleźć tam żadnych jej krewnych.

– I nikt jej nigdy nie szukał?

– Jediną osobą, która zgłosiła jej zaginięcie, był sam Báez.

– W każdym razie, nie sądzę, żeby w tamtych czasach przywiązywano wagę do zawiadomień o zaginięciu.

Carlucho zaprzeczył ruchem głowy.

– Nawet lata później, kiedy wróciła demokracja i ujawniono listy osób zaginionych, nikt z rodziny nigdy się nie zgłosił, nikt o nią nie pytał. Potwierdził mi to po latach sam prokurator prowadzący tę sprawę – dawno już na emeryturze – gdy przyjechał do mojego warsztatu naprawić samochód.

– Była idealną ofiarą – zauważył Pablo. – Bez rodziny, nowa w mieście, przyjechała z drugiego końca kraju.

Szum wody ustał i w progu pojawiła się Dolores, która wycierała dłonie w kuchenny ręcznik. Objęła męża ramieniem, a Carlucho natychmiast ziewnął. Valeria też szeroko otworzyła usta, ale nie byłem pewien, czy naprawdę chce jej się spać, czy tylko udaje.

– Lepiej się już połóżmy – powiedziała, całując narzeczonego w policzek. – Jutrzejszy dzień będzie dość długi. Tato, proszę, nie budź nas za wcześnie.

– Za wcześnie? Wcześnie to wstaje parobek, który już o wpół do piątej, wraz z pierwszymi promieniami słońca, jest na nogach.

– Chodźmy – odparła Valeria i pocałowała Pabla jeszcze raz.

– A w którym pokoju spali Fabiana Orquera i Báez w tamten weekend? – zapytał Pablo.

– Nie bój się, nie w naszym – rzuciła jego dziewczyna z uśmiechem. – Spali w pokoju Nahuela.

Rozdział 6

Nad naszymi głowami

– Mam jeszcze jedno pytanie, zanim pójdziemy spać, don Carlos – odezwał się Pablo, gdy Carlucho położył palec na włączniku światła w spiżarni. – Wspomniał pan o procesie. Czy Báez trafił do więzienia?

– Został uniewinniony – odpowiedziała Dolores z wyraźnym niesmakiem.

– Z braku dowodów – dodał Carlucho.

– To prawda. Nigdy nie udowodniono mu związku z jej zaginięciem, ale też oficjalnie nie wykluczono, że mógł być za nie odpowiedzialny.

Przypomniałem sobie artykuł, który czytałem kilka lat temu w archiwach „El Orden”, kiedy szukałem materiałów do swojej rubryki. – To zrujnowało mu karierę polityczną, prawda?

– Był politykiem? – zdziwił się Pablo.

– Kandydował na burmistrza – wyjaśnił Carlucho. – Ale w wyborach w 1983 roku musiał się wycofać z powodu toczącego się procesu. Kilka lat później ponownie wystartował, ale zdobył bardzo mało głosów. Osobiście uważam, że był niewinny – dodał – bo po procesie został w miasteczku, dalej pracował i ponownie kandydował na burmistrza. Nie wiem, jak przekała partię, by znów go wystawili. W takim miasteczku jak Deseado, jeśli raz cię skreślą...

Dolores spojrzała na niego z cieniem irytacji.

– Większość ludzi w Deseado, włącznie ze mną, uważa, że to on ją zabił. A ci, którzy uznali, że był niewinny, potępili go za to, że okłamał żonę, mówiąc jej, że w ten weekend jedzie na spotkanie partii w Río Gallegos.

– Potem zaczęły się plotki – dodał Carlucho.

Valeria pokręciła głową.

– Gdyby można było eksportować plotki, byłibyśmy światową potęgą.

Carlucho parsknął śmiechem.

– Było ich mnóstwo. Nie brakowało nawet osób, które twierdziły, że ja też miałem z tym coś wspólnego.

Dolores uniosła brew.

– Mimo że setki ludzi widziały cię w weekend na wyścigach Fiatów 600, a w poniedziałek byłeś w Comodoro.

– Racja. A z tą krwią... Nawymyślali tyle historii... Rytuały satanistyczne, dewiacyjne zabawy. Pamiętam, jak jedna starsza kobieta powiedziała mi kiedyś, że zawsze podejrzewała, że Báez jest wampirem.

– Ale to była wariatka Azcuénaga, której nawet własne dzieci nie traktowały poważnie – zaśmiała się Dolores, wciąż wtulona w swojego męża. – Tak samo jak stary Logan, który nigdy nie zbliżył się do tego miejsca bardziej niż podczas pobytu w Cabo Blanco, a mimo to twierdził aż do dnia swojej śmierci, że dom jest nawiedzony przez ducha Fabiany Orquery.

– To chyba nie pomogło w interesie, prawda, don Carlos?

– Nie bardzo, prawdę mówiąc – przyznał. – Po tym wszystkim przestaliśmy wynajmować dom. Wydaliśmy wszystkie oszczędności na remont drugiego domu dla robotników, który przez lata stał opuszczony, i zaczęliśmy go wynajmować. Z czasem nawet najbardziej przesądni przestali się bać.

Carlucho znów ziewnął.

– I to wszystko, co wiem o Fabianie Orquerze.

Pablo utkwiał w nim spojrzenie.

– A Báez? On jeszcze żyje?

Zapadła niezręczna cisza.

– Nie. Żle się to wszystko skończyło. Powiesił się w dziewięćdziesiątym ósmym, dokładnie piętnaście lat po zaginięciu Fabiany Orquery.

Carlucho uniósł głowę, patrząc w sufit, po czym odwrócił wzrok i bez słowa spojrział mi prosto w oczy. Nie musiał jednak nic mówić – wiedziałem, że nie chce już dłużej ciągnąć tego tematu.

Małżeństwo życzyło nam dobrej nocy, a po chwili Carlucho wyszedł, by wyłączyć generator diesla. Przemilczał przed zięciem szczegóły, który reszta z nas już знаła.

Piętnaście lat wcześniej Raúl Báez ukradł w Puerto Deseado samochód, przejechał nim do Las Maras, wybił szybę i włamał się do domu.

A potem powiesił się w starej spiżarni na stalowym haku, który teraz zwisał prosto nad naszymi głowami.

Rozdział 7

Na wyciągnięcie ręki

Dwie minuty po tym, jak zostałem sam w kuchni, mruczący w oddali generator prądu nagle ucichł, a światła zgasły. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, spojrzałem przez okno. W blasku półksiężyca na bezchmurnym niebie dostrzegłem rząd tamaryszków rysujących się w oddali.

Znałem te drzewa na pamięć. Jako dziecko kryłem się w ich gęstym, wiecznie zielonym listowiu, bawiąc się w wojnę lub chowanego. Ale tej nocy, w srebrzystym świetle księżyca, nie przypominały już schronienia – stały w milczeniu, jak żywi, niemi świadkowie wydarzeń będących tajemnicą Báeza i Fabiana Orquery.

Wtedy zauważyłem ruch. Przy najdalszym tamaryszku poruszył się cień. Postać zbliżała się do domu szybkim krokiem. Niemal biegła. Zanim zdążyłem zareagować, tajemniczy gość dotarł do kuchennych drzwi i chwycił za klamkę.

– Nie masz pojęcia, jak się ochłodziło – powiedział Carlucho, zamykając za sobą drzwi i pocierając ręce.

– Tylko ty mogłeś dzisiaj wyjść na dwór w koszulce z krótkim rękawem.

Nawet w ciemności widziałem, jak jego wąsy unoszą się w uśmiechu. W przyjacielskim geście położył swoją ciężką dłoń na moim ramieniu.

– Kiedy będę potrzebował drugiej żony, dam ci znać – rzucił i poszedł do swojego pokoju.

Zostałem sam.

Usadziłem się na stole i znów spojrzałem przez okno.

W każdym innym miejscu na świecie pomyśl, że koperta mogła przeleżeć piętnaście lat pod komodą i pozostać niezauważona, uznalbym za niedorzeczny. Ale w Las Maras nic nie było niemożliwe. Poza pokojami Carlucho i Dolores, pozostałe pomieszczenia były używane tylko przez kilka tygodni

w roku, gdy przyjeżdżała rodzina na święta. Jeśli ktoś zostawił w szafie spodnie pod koniec stycznia, mógł być pewien, że w grudniu wciąż tam będą. Nieraz, pół żartem, pół serio, powtarzaliśmy, że w tym domu rzeczy potrafiły zatrzymać się w czasie.

Każdego lata odkrywałem w nim nowe skarby. Znajdowałem stare, godne oddzielnej gabloty w muzeum, rupiecie, o których ani Carlucho, ani Dolores nie mieli pojęcia – od rachunku na zakup tysiąca owiec z 1935 roku, gdy posiadłość nie należała jeszcze do Nievasów, po drewniane koło od Forda T.

Ze wszystkich tych znalezisk najbardziej fascynowała mnie pocztówka, którą odkryłem w rozpadającym się egzemplarzu „Martína Fierro”. Przedstawiała Puerto Deseado w 1921 roku – w tle parowy statek zacumowany na środku rzeki, a bliżej aparatu podróżni wysiadający z drewnianej łodzi. Sam obrazek był piękny, ale najbardziej zainteresowało mnie nazwisko adresata: José Imelio z Rosario. Nikt nie potrafił mi wyjaśnić, kim był Imelio, ani jak pocztówka wysłana do Rosario ze stemplem pocztowym z Puerto Deseado trafiła do Las Maras.

Dziś ta pocztówka stoi oprawiona na półce w moim domu w Deseado – dowód na to, że jeśli gdziekolwiek na świecie list mógł przeleżeć piętnaście lat niezauważony, to właśnie w Las Maras.

Zimno, które wdarło się przez drzwi kuchni i starej spiżarni, przeniknęło moje ciało do szpiku kości. Zazdroszcząc tysiącom Argentczyków wylegającym się na plażach Mar del Plata, wróciłem do jadalni i rozpałem w piecu. Jak mawiają w Patagonii – mamy tu tylko dwie pory roku: zimę i czas na mate.

Poszedłem do mojego pokoju po list, po czym wróciłem do jadalni i usiadłem w fotelu jak najbliżej pieca. Słyszał było jedynie wycie wiatru, który uderzał o dach, i trzaskanie płonących gałęzi moje. W świetle płomienia zacząłem ponownie czytać słowa skreślone przez NN prawie piętnaście lat temu.

Zatrzymałem się przy wzmiance o Báezie.

NIE MA JUŻ POWODU, BY TO UKRYWAĆ: RAÚL NIE ŻYJE OD ROKU, A MNIE SAMEMU PEWNIE NIEWIELE DNI POZOSTAŁO.

Według Carlucha, Fabiana Orquera zniknęła w marcu 1983 roku, a Bącz powiesił się dokładnie piętnaście lat później – w marcu 1998, jak obliczyłem. List datowano na listopad tego samego roku, osiem miesięcy po samobójstwie. Według słów NN, napisał go niemal rok po śmierci Bącza. Do tego momentu wszystko się zgadzało.

Ale dlaczego ograniczył się do obietnicy odpowiedzi, zamiast po prostu jej udzielić?

*POSTANOWIŁEM WIĘC WYJAWIĆ, KIM JESTEM I GDZIE
POCHOWAŁEM FABIANĘ ORQUERĘ.*

Nie miałem pojęcia. Ale wiedziałem jedno: ten list potwierdzał dwa kluczowe fakty w sprawie Fabiany Orquery, których przez trzy dekady nikt nie potrafił ustalić.

Po pierwsze, wzmianka o Bączie rozwiewała wszelkie wątpliwości co do jego niewinności.

Po drugie, dziewczyna nie tylko zaginęła, lecz także z pewnością nie żyła. To akurat nie było dla mnie zaskoczeniem. W końcu przez niemal trzydzieści lat nikt nie miał o niej żadnych wieści. Ale słowa NN były pierwszym namacalnym dowodem na jej śmierć i pochówek.

Myśl o grobie w Las Maras sprawiła, że mimowolnie się uśmiechnąłem. Ja, który spędziłem tu niemal każde lato swojego życia, znałem tylko ułamek tego miejsca. Za każdym razem, gdy jechałem konno, polowałem albo pomagałem Carluchowi w naprawach, zastanawiałem się, w ilu miejscach na tych dwudziestu tysiącach hektarów człowiek nigdy nie postawił stopy. Było to idealne miejsce na pochowanie kogoś tak, by nikt go nigdy nie znalazł.

Kto zamordował Fabianę Orquerę trzydzieści lat temu? Gdzie ją pogrzebano? Jeśli uda mi się odpowiedzieć na te pytania, ja, Nahuel Donaire, rozwikłam największą zagadkę w historii Puerto Deseado.

*ODPOWIEDŹ JEST NA WYCIĄgniĘCIE RĘKI – UKRYŁEM
JĄ NA STRONACH, KTÓRYCH NIKT JUŻ NIE CZYTA ANI NIE
PAMIĘTA.*

Choć nie rozumiałem tej makabrycznej gry, którą prowadził NN, zakładałem, że wspomniane strony muszą znajdować się w Las Maras. To tutaj wszystko się wydarzyło – zniknięcie, samobójstwo Baeza piętnaście lat później – i to właśnie w tym miejscu znalazłem ów tajemniczy list napisany zaledwie kilka miesięcy po śmierci mężczyzny.

GDZIE POCHOWAŁEM FABIANĘ ORQUERĘ

CRISTIAN PERFUMO

Dom pośrodku pustkowia. Zbrodnia nierozwikłana przez trzydzieści lat.
List, który zmienia wszystko.

Lato 1983 roku.

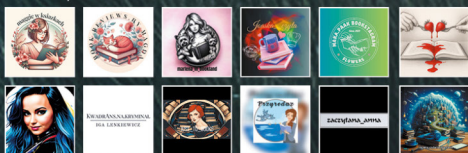
Wpływowy polityk budzi się w opuszczonym domu w sercu patagońskiej głuszy, piętnaście kilometrów od najbliższego sąsiada. Na jego ciele nie ma żadnych obrażeń, ale ubranie jest przesiąknięte krwią, a obok leży zakrwawiony nóż. Ostatnie, co pamięta, to weekend, który planował spędzić z kochanką, Fabianą Orquerą. Nie zdaje sobie jednak sprawy, że tej kobiety nikt już nigdy nie zobaczy – ani żywej, ani martwej.

Trzydzieści lat później.

Nahuel, dociekliwy dziennikarz, niemal każde lato spędza w tym domu. Pewnego dnia znajduje w nim tajemniczy list pełen zagadek i wskazówek, które mogą prowadzić do prawdy o zniknięciu Fabiany Orquery. Jego dziennikarska intuicja podpowiada mu, że odkrył historię życia. Jednak rozwiązywanie pierwszej zagadki kończy się bolesnym ciosem – ktoś za wszelką cenę pragnie, by prawda pozostała pogrzebana na zawsze.

Co tak naprawdę stało się z Fabianą Orquerą?

Patroni wydania:



autornia

www.autornia.com

ISBN 978-83-972980-8-8

